

ROZMAITOSCI WARSZAWSKIE.

Utile Dulci.

PISMO DODATKOWE

DO GAZETY KORRESPONDENTA WARSZAWSKIEGO

w Niedzielę dnia 30. Grudnia 1827.

I.

CÓRKA.

Powieść przez Panią Elizę Voïart.

(Dokończenie.)

Kapitan dowiedziawszy się gdzie mieszka Ludwika, i zupełne mając pełnomocnictwo od Pana M.... poszedł naziutrz do wdowy.

Była jedenasta z rana gdy Kapitan z wolna zaszukał do drzwi Ludwika. Młoda dziewczyna siedziała nad robotą przy oknie; waha się, spogląda z obawą na łóżko matki; pokóy był w porządku; zresztą Ludwika nie spodziewa się żadnych nawiedzin, prócz kobiety, która iéy przynosi robotę i poczciwéy praczki. Matka iéy przepędziwszy noc bezsennie, spoczywała teraz; Ludwika na wpół się podnosi, i mówi łagodnym głosem: Weydź!...

Otworzono drzwi; lecz miasto spodziewanéy kobiety lub iéy dobrej gospodyni, Ludwika spostrzega małego starca pochylonego przez wiek, a którego zimna i obojętna twarz jest sprzeczną z jego uprzejmém obeysciem; pyta się czy jest

wpomieszkanü Panny Ludwika M..? Młoda dziewczyna odpowiada na to zapytanie z niejakim pomieszaniem, nie mogąc odgadnąć co go do niéy sprowadza; lecz Kapitan nie zostawia ją długo w niepewności wymawiając imię hrabiego M.... i wyraża w kilku słowach swoje zlecenie.

Z razu młoda dziewczyna słysząc imię swego stryja i oświadczenie iego życzliwości dla niéy, poddaie się z uniesieniem najwyższey wdzięczności: «O moja matko! zawoła, będziesz nakoniec szczęśliwą, dał się ubłagać!...» Nie wątpi już, że iéy ukochaną matkę uznał hrabia M... za swoię córkę; a lubo tę zmianę za cud poczytuje, wierzy w niego i oddaie się niewinnéy radości.

Kapitan znając zamiary swego przyjaciela, nie chciał ich przestąpić, był więc przymuszony jasno ie wyrazić. Przygotowawszy się nieco, prosił młodą dziewczynę żeby się uspokoiła i żeby go z uwagą słuchała, — Przyjąłem, rzecz, zlecenie również delikatne ile zaszczytne, i mam się za szczęśliwego, że mnie obrano, aby nieść słowa pokoju i zgody między człon-

kami rodziny, której naczelnik jest moim przyjacielem. Nie wątpię, że skłoni się do nich osoba, która jak ty Pani, w tak młodym wieku posiada trafny rozsądek i rozum wyższy nad lata.

Wyznać muszę, że cios zadany Hrabie M. przez nierozważne małżeństwo synowca, zostawił w jego duszy nie zatarłe ślady; lecz jesteś potomkiem jego słachetnej rodziny, wzywałeś jego opieki i to nie będzie nadaremnie, chce zadosyć uczynić co winien swojemu synowcowi i swojemu sercu, ofiaruję ci więc jako dziedzicze imienia dawniej sławnego i reszty majątku, którego pomimo swojego gniewu jeszcze nie oddał w inne ręce, swoją przychylność i opiekę. Jednakże pomyślisz Pani, że mając żyć w świecie do którego cię wzywa twoje urodzenie i twój majątek, innego potrzebować będziesz przewodnika nie zaś kobietę, godną szacunku bez wątpienia przez swoje nieszczęścia, lecz nieznającą zwyczajów świata i której umysł już może nie polepszy się. Hrabia chce umieścić matkę Pani w jednym z tych domów, gdzie osoby taką słabością tknięte, jak najlepszego doznają obchodzenia, a tam gdy iéy nic nie będzie przypominać przyszłych zgryzot, może zupełnie o nich zapomni. Pani zaś przepędziwszy rok ieden w domu trudniącym się wychowaniem młodych osób, zajmiesz to miejsce które ci przeznacza dobroć stryia, może zbyt przywiązanego do swojego zdania, lecz który nie umiéy przeto zasługiwać na twoją wdzięczność.

Kapitan byłby mógł długo jeszcze mówić, a Ludwika nie byłaby mu przerwała: podziwienie i boleść że iéy nadzieje zniszczone zostały, tak mocno pomieszała iéy myśli. Posłaniec Pana M... dumny z swojej wymowy, wyrwał ją z tego osłupienia, dodając, że czas jest aby

wyszła z tego ukrycia; do którego nie jest zrodzoną i winszując iéy świetnego losu, czekającego ją gdy wolna będzie od przykrych terazniejszych obowiązków. Słowa te powróciły iéy przytomność, a wszystko czém może natchnąć cnotliwe oburzenie, wstrząsnęło duszę wspaniałomyślnéy Ludwiki.— Co! ja? zawołała, mam opuścić moją matkę, tą ceną dokupić się bogactw, których dla niéy tylko zazdrościłam. Ach! iak mało mię znali ci, którzy mi czynią takie ofiary. Myśl ta uspokoiła nagłe wzburzenie, które nią miotano: uśmiechnęła się litościwie, że iéy smię taki los przeznaczać. Z żywością obróciła się do matki, a rozrzuwniona patrząc na tę piękną twarz wybladła cierpieniem.—«Tak jest rzekła, ja sama powinnam czuć nad tobą. O matko! Niebo pozbawiając cię rozumu, powierzyło cię moim staraniom, godna będę takiego obowiązku.»

Kapitan zmieształ się: uczynił kilka trafnych i rozsądnych zarzutów: gorące i tkliwe serce Ludwiki, nie mogło ich słyszeć bez oburzenia; lecz powściągnąc nadzwyczajne wzruszenie, prosiła Kapitana, aby podziękował Panu M. (nie nazwała go swoim stryiem) za jego zamiary względem niéy, zapewnił go zarazem, że nic w świecie nie może go skłonić do ich przyjęcia.—Kapitan wstał obrażony nieco.—Pomyśl WacPanna, że taka ofiara nie czyni się po dwakroć.

— Spodziewam się tego, żywo odpowiedziała Ludwika, lecz natychmiast czuiąc, że ta żywość może obrazić Kapitana, przydała z łagodnością: Bardzo iestem wdzięczna za to żeś Pan trudził się w tym interessie, lecz sam czuć powinienes, że nie mogę, że powinnam wszystkiego od-

mówić. Te rzekłszy słowa, odprowadziła Kapitana ku drzwiom, gdyż widząc lekkie poruszenie matki, obawiała się, aby przy obudzeniu, nie przestraszył iéy niespodziany widok obcój osoby. Kapitan uczuł, że iego bytność już jest niepotrzebną, a chociaż uraził się nieco odrzuceniem swoich ofiar, iednakże wielbiąc skrycie szlachetną dumę sieroty, ukłonił się z uszanowaniem i wyszedł.

Ludwika nie chce go zatrzymywać, czuje, że dopełniła swojego obowiązku i cieszy się z tego. Od téy chwili nadzwyczajna spokojność nastąpiła w duszy odważnego dziecięcia, zabiera się do pracy, z większym iak kiedykolwiek zapałem, uśmiech, pieszczota matki, jest iéy nagrodą i nowych iéy sił dodaje.

Codziennie Ludwika wstaje rano ze wschodem słońca, siada do roboty przy oknie, zasłanioném zieloną firanką. Z tego okna widać było dziedziniec pałacu, do którego wchód był przez inne ulice. Taras przyparty do muru oddzielającego ten dziedziniec od domu sąsiedzkiego, połączył dwa skrzydła pałacu; zdobiły go krzewy i kwiaty, których Ludwika zazdrościła przypominając sobie swój wiek dziecienny. Nieraz słyszała wdzięczny głos wychodzący z pokoju, którego szklane drzwi otwierały się na taras; lecz zajęta swemi troskami, bynajmniej na to nie zważała. Jednego wieczora nim się spać położyła, z przyjemnością oddychała wonią kwiatów z wiatrem aż do niéy lecącą. Miłe dźwięki dały się słyszeć niedaleko od niéy; pokój jest oświecony, drzwi od tarasu otwarte, a Ludwika słucha z największém natężeniem śpiewu z towarzyszeniem fortepianu. Ten głos był łagodny i miły iak głos niewieści, lecz moc

iego wskazywała mężczyznę. Wkrótce przechodząc od śpiewu poważnego i religijnego do tonów ieszcze smętniejszy, zdawał się wyrażać skargi i boleść po stracie ukochanego przedmiotu lub szczęścia. Ten dźwięk pełen tajemniczego współ-uczucia, przenika duszę młodej dziewczyny i przypomina iéy własne straty, lecz te wspomnienia, są równie czyste iak iéy serce, a iéy łzy płyną bez goryczy.

Muzyka jest tajemniczą mową, którą tylko dusze czule i szczerne mogą zrozumieć; jest niewidzialném ogniwem łączącym niebo i ziemię, jest zarazem wspomnieniem i nadzieją uciech niebieskich. Bóg w dobroci swoiéy dał człowiekowi, aby osłodzić iego wygnanie na ziemi, kwiaty, woń i harmonią: pierwsze czartwią iego spojzenie, drugie orzeźwiają lub upaiają iego zmysły; lecz muzyka odpowiada wszystkiemu, co tylko jest tkliwém, silném, bolesném, lub namiętném; są w niéy dźwięki odpowiednie naszéy radości; skargi na wszelkie nasze troski, ona usypia dzieciństwo, rozwesela młodość, pobudza odwagę, uspokaja gniew, podnosi duszę do najszczytniejszych wzruszeń i ciche łzy z oczu naszych wywodzi.

Ludwika doznawała całej iey potęgi, sparta na krawędzi wązkiego okna zapomina o śnie, lecz iedénasta uderza, muzyka ustaie, światło znika, ciemność i milczenie ocuciają Ludwikę z iey zadumania, idzie nareszcie na spoczynek, a smętne i miłe marzenia zajmują iéy myśl i nie mięszają iey spoczynku.

Nazajutrz przypinając do okna ciemną zasłonę która ją od słońca ochrania, Ludwika nie myśląc rzuca okiem na gabinet

tarasu, jest otwarty, a w nim młody człowiek siedząc przy stoliku zajęty jest pisananiem. Na jego widok dla czego liła Ludwika pokryły się rumieńcem? Zapewne nie zna tego młodzieńca. Jego żalobna suknia, zamyślenie, twarz zasłoniąta częścią pierścieniami czarnych włosów, zajmują Ludwikę, nie przywodząc ię żadnego wspomnienia. Nagle młodzieniec porzuca pióro, opiera głowę na rękę, i widać na nim głęboki smutek. Wkrótce powstaje, zakłada ręce na piersi z wyrażeniem mocnej boleści, i wznosi ku niebu oczy łzami zalane. Młoda dziewczica zaledwie powściągnęła krzyk podziwienia. To on, to ów młody nieznaomy którego obraz wyrzuty jest w głębi ięj myśli. To Alfred, syn ministra. Ach! mieszka tak blisko przy nię, ten co najpierwszy przejął ię serce tak silnem i tak potężnem uczuciem.— Gdyby wiedział że jego wspaniałomyślne usiłowania pozostały bez skutku! gdyż zapewne nie wie o tém. Ale skądże ten smutek? ta bladeść. Po stracie zaszczytów, czyliż boleśniejszą jeszcze stratę oplakuie. Poznając młodzieńca, Ludwika nagle cofnęła się od okna, powraca, rzuca bojaźliwe spojrzenie na taras, lecz okno było zamknięte, wszystko znikło.

Przez cały dzień Ludwika była roztrągnioną i zamyśloną, iuż to martwił ją smutek młodzieńca, iuż to cieszyła się, że jest tak blisko niego, to znowu, i ta myśl bardzo ją zmięszała: rozumie, że wszystko co tylko widziała, było igraszką ięj wyobraźni. Możem się zwiódła, mówiła, może to nie on? W tenczas pieśni wieczorne nasuwały się ię na

myśl; a wspomnienie tak tkliwego śpiwu ostrzegało ją ach! to był on. Kilkanaście dni upłynęło nim się o tém przekonała. Już to młodzieniec nie okazywał się, iuż to nie podnosił głowy, nareście zdarzenie, którego była świadkiem, rozproszyło ię wątpliwość.

Jednego poranku Ludwika zobaczyła, iak pewna kobieta powoli przeszła przez taras do gabinetu, gdzie młodzieniec siedział w najgłębszym pograżony dumaniu.— Po ięj wieku, po ięj żalobnym ubiorze, Ludwika nie wątpiła wcale, że to jest matka Alfreda. Jakoż przyjął ją z oznaką mocnej czułości: oboje płakali razem; można było zgadnąć, że ieden jest powód ich płaczu.— Matka przyciska go do serca, możnaby wniesć, że mówi do niego ięzykiem rozumu, że go zachęca do mężstwa: z taką uwagą słuca ię młodzieniec. Wkrótce rozjaśnia się twarz jego, ścisca ręce matki i zdaje się czynić ię obietnicę, która ją przeymuie radością.

Ludwika nie spuściła z oka żadnego poruszenia tych dwoyga osób, tłómaczyła ie sobie, a ta niema scena ieszcze powiększyła ię szacunek dla młodego ię opiekuna. Dobrym iest synem, rzekła do siebie z zapalem, nie oparł się próżbom matki. Ah! niechay będzie szczęśliwym ile na to zasługuie.

Bezinteresowne to życzenie zwraca ię myśl na własny ię stan. Niestety! nie była szczęśliwą, zdrucie ięj matki zamiast polepszenia się, coraz bardziej słabło. Spoczynek wprawdzie i tkliwe starania córki, uspokoiły nieco ię wyobraźnią, lecz iak mało to wszystko znaczyło! Uwagi przyjaciele ię stryia względem zdrowia stanu ięj matki i staran, iakieby można mieć około nię, wskazały Ludwice, że są inne ieszcze środki

leczenia, prócz sposobów używanych zwyczajnie w szpitalu obłąkanych; w miejscu okropném, którego wspomnienie takim wstrętem ją przeймаie, że przez samą obawę, aby iéy matki tam nie osadzono; najstaranniey ukrywała stan téy nieszczęśliwéy. A teraz myśli z boleścią, że przy większym dobrym bycie wezwałaby lekarza, którego światłe starania, mogłyby przyspieszyć uleczenie iéy matki, a przynajmniej stan iéy osłodzić.

Gdy ją to wyobrażenie ciągle zajmuję, musiało iéy przyśdź na myśl żądanie, aby syna Ministra o ich położeniu uwiadomić. Jéy czyste i proste serce nie widzi w tym kroku żadnéy nieprzyzwoitości. On kocha swoją matkę, ona ubóstwia Sefelią, a ten rodzaj braterstwa na cnotliwém oparty uczuciu, zaspokaja Ludwikę; oprócz tego nie zapomina o wspaniałomyślnych słowach, które wyrzekł do niéy w obecności Ministra. — Córka mężnego znajdzie zawsze podporę w opiece miłego oycy i w moim sercu, rzekł tonem, na którego wspomnienie ieszcze biele serce Ludwiki.

Córka Abła M. posiadała wyobraźnią żywą; dowcip trafny i prędki, a raz namyśliwszy się nad postanowieniem swoim, chce go natychmiast wykonać. Ożywiona miłością synowską przewycięży swoją bojaźliwość, jutro podniesie tę zasłonę zieloną która ją ukrywa przed okiem dobrego syna; on ją pozna zapewne, spyta się o matkę, powie mu, że ona jest cierpiącą i nieszczęśliwą, prosić go będzie o wsparcie dla niéy; nie wie Ludwika jakim sposobem uiszc iéy nadzieję, nawet o tém nie myśli, tak wielkie ma zaufanie w tym którego uważa za brata-

Los nie sprzyiał zrazu temu szlachetnemu zamysłowi, drzwi gabinetu nie otworzyły się, a nawet przez dni kilkanaście były zamknięte. Ludwika spodziewa się codziennie, że przywiedzie do skutku swój zamiar, lecz dni mijaia, a sposobność się nie nadarza.

Pewnego poranku, wielka wrzawa powstała na podworzu pałacowém: Świetne powozy zajeżdzaia i wyjeżdzaia; wysiadaia z nich kobiety strojnie przybrane, a Ludwika której uwagę zwraca ten odgłos: nie może poiać iaki powód sprowadza tyle osób o iedenastéy rano, nie uważa iż wszyscy służący w bogate stroie przybrani, maia w ręku bukiety.

Na wpół ukryta za lekką zasłoną, spogląda na to widowisko z dziecianną ciekawością; nagle stangreci siadaia na kozły, zajeżdzaia powozy, a Ludwika widzi wychodzącego z przysionka, na czele licznego zgromadzenia, Alfreda D. z odkrytą głową, ubranego czarno, z bogatą szpadą przy boku i podaiącego rękę młodéy piękności iaśnieiącéy drogiemi kamieniami. — Twarz Alfreda, niegdys tak blada i posępa, wydaie się teraz łagodną i wesołą. Młoda osoba spogląda na niego ze skromném i tkliwém pomieszaniem; zasłona z nacyieńszych koronek na twarz iéy spada; pół-wieniec z kwiatów pomarańczowych, drży na iéy czole, to iest Panna młoda... A Alfred?

W téy chwili Ludwika czuie, że śmiertelne zimno przenika ją całą; poymu e zarazem i swoje bezrozumne życzenia i zupełne ich zniszczenie. Niezdolna znieść żywéy boleści przenikaiącey iéy duszę, pada bez zmysłów.

Wkrótce bolesne krzyki przedzieraią-

ce się aż do iéy serca, przywołały ją do życia; usiłując zebrać swoje myśli i z przestrachem w około siebie spogląda. Jéy to matka, iéy nieszczęśliwa matka, która ciągle ma oczy w nią wlepione, widziała ją upadającą, a paraliż nie dozwala iéy śpieszyć na pomoc córki. Ludwika przywlokła się do iéy łóżka, ścisła ją i chce pieśzcotami swemi przynieść ulgę iéy okropnéy boleści. Milczenie nastąpiło po turkocie powozów; podwórce pałacu jest puste, Ludwika zamyka nieszczęśliwe okno i powraca ratować matkę, lecz nie nie uśmierza wzruszenia nerwów, które wzniecił w niéy widok zemdlonéy córki. Podwaja się gwałtowność konwulsyi, trawi ją okropna gorączka, a obłąkanie iéy wzroku jeszcze pomnaża trwogę biednéy dziewczyny. Wkrótce poznaje, że Sefelia jest w niebezpieczeństwie; woła pomocy, iéy sąsiadka równie uboga jak ona, lecz która już kilka przysług iéy wyświadczyła, przybiega na iéy wołanie. Lekarza! Lekarza, woła Ludwika; niewiasta wskazuje iéy pomieszkanie iednego i oświadcza, że pozostanie przy choréy, gdy ona tymczasem póydzie po niego.— Ludwika wybiega z domu, przybywa bez tchu prawie do Lekarza, o! boleści, nie ma go w domu i dopiero za dwie godzin powróci. Ludwika w rozpacz, pyta, czy nie wiedzą o drugim, wskazują iéy pomieszkanie innego doktora, a ona biegnie przez ulice zaledwie iéy znane, wybladła, obłąkana, i powtarzając po cichu: »Moja matka, o moja biedna matka!»

Siostra miłosierdzia, ieden z tych aniołów w postać ludzką przybranych, postrzeżę ją, okropny stan Ludwiki, iéy przytłumione wołania, zwróciły iéy uwagę, idzie za nią, a wkrótce zatrzymując ją: Cóż to ci moje dziecię? rzekła, z

tkliwém politowaniem, czyli masz iakie zmartwienie? czyli ci czego potrzeba? — Ah Pani! matka moja umiera a nie mogę znaleźć lekarza. Póydz za mną moja córko, rzecze miłosierdza siostra, a wszedłszy do domu miłosierdzia, od którego nie były oddalone, dała iéy zażyć kilka kropel orzeźwiających i poszła za Ludwiką.

Przyszedłszy do chorey, rzeczywiście zastały ją w zatrzważającym stanie. Czempredzey krew iéy puściła. Ludwika klęcząc utrzymuje iéy rękę, obłąkany wzrok zwraca, już to na matkę, już to na szanowną siostrę; krew tryska, a w miarę iéy płynięcia, uśmierza ją się konwulsye, puls uspokoja się, oczy tracą swóie przerażające osłupienie, mdlejąca ręka spada na czoło Ludwiki i zda się ją błogosławić, chora ięczy, łzy iéy płyną, powrócona jest do życia. Żywe zadowolnienie maluje się w spojrzaniach siostry. Ludwika zrozumiawszy ją, już chce się oddać uczuciom radości; znak roztropney dozorczeni chorych, powściąga iéy wyrażenie. Wlewa kilka kropel kordyału w łyżkę, dała zażyć ie choréy, któręy wycieńczone siły snu potrzebują, kładzie ją na łóżku, a zasunawszy firanki naygłębsze milczenie zaleca.

Siostra miłosierdzia wywiaduje się o początku téy słabości i o wszelkich iéy okolicznościach. Będzie długą i bolesną rzekła do Ludwiki, lecz przesilenie to może sprawić szczęśliwy skutek. Spuść się we wszystkim na mnie moja córko, iesteś uboga, nie masz doktora, odwiedzę dziś twoię matkę; usłudze nieszczęśliwych poświęciłisny życie nasze, prosz więc Boga, żeby pobłogosławił moim staraniom.

Ludwika powraca do matki. Nieszczęśliwa spi, lecz snem przerywanym. Zda się, że podwoiła się gwałtowność gorączki, nic nie może uśmierzyć pożerającego

ią pragnienia, a głos córki sam tylko ją uspokaja. Ku wieczorowi otwiera oczy i zwraca na Ludwikę wzrok jeszcze pełen boleści, lecz wolny od tego osłupienia, które tylokrotnie przestraszało biedną dziewczynę, kiedy niekiedy ściska lekko ię rękę, niekiedy chce mówić, lecz ię słabość nie dozwala. «Moja córko! wymawia z usiłowaniem i w dalekię przerwie. Ty to jesteś... ty sama... Przyciąga Ludwikę do siebie, obemyia ię ręką, która ię wolną pozostaje, rzecby można, że pierwszy raz ją widzi. Ludwika roztropna, powściąga nagłą i niespodzianą radość, mówi do nię, uspokaja i zachęca do spoczynku. Powolna na ten głos ukochany, Sefelia zamyka oczy, ociężala głowę na łonie córki opiera i doznaje nieiakięgo spoczynku.

Siostra miłosierdzia dotrzymuiąc swoię obietnicy, powróciła do chorę i przy nię przepędziła część nocy. Dopóki tylko trwało niebezpieczeństwo, nie ostygła ię gorliwość. Tak iak przepowiedziała, choroba długa była i okropna. Po bolesnych kolejach obawy i nadziei, musiała użyć wszystkiego, czego ię doświadczenie i religia nauczyły, dla pielęgnowania chorey i ożywienia odwagi Ludwiki. Miała sposobność, aby iednemu i drugiemu zadosyć uczynić. Dopomogła Ludwice do korzystniejszego sprzedawania ię haftów; zyskawszy ię zaufanie starała się uleczyć rany ię serca. Wdowa zaczęła nareście przychodzić do zdrowia, a z nię zupełny odzyskała rozum. Wtenczas to czuła ta matka dowiedziła się z ust zakonnicy o tē, ile winna jest swoię córce, i iaką odwagę okazała ona w dniach boleści.

Ludwika pocieszona, o niczē nie myśli, niczego nie żąda, prócz zdrowia swoię matki. Sadza ją przy małem okien-

ku, aby ją orzeźwiały miłe promienie ię sienego słońca. Zdjęła zieloną zastonę, może to uczynić; pałac jest pusty od nieszczęśliwego dnia... Ale ona tylko dla matki żyje, a ięzeli niekiedy bolesne westchnienie powstaie wię łonie, rzuca się wobjęcia Sefelii i w nich szuka przytulku, przeciw gorzkim wspomnieniom.

Zima zbliżała się i tysiąc nowych potrzeb prowadziła za sobą. Krótkość dni opóźnia ię pracę, a przyszłość okazuię się ię w najsmutniejszē postaci. Pewnego dnia nad wieczorem udała się do pobliskiego kościoła i tam klęząc przed obrazem Matki Boskię, wzywała ię opieki.

Niepoięta spokojność przeięła ię serce, milcząc iak gdyby w zachwyceniu pograżona, zdawała się słuchać głosu nadziei, gdy nagle usłyszała przy sobie szmer i westchnienie, a głos nadpowierzny prawie, wyrzekł: spodziewaj się.

Zmieszana wychodzi spiesznie z kościoła i dopiero uspokaja się przy matce. Nie było to złudzenie, syn ministra Alfred D, był w kaplicy, słyszał tkliwe modły Ludwiki, a wyraz który na nim uwielbienie wymogło, istotnie uderzył ucho Ludwiki.

Alfred nie był trzpiotē, był czułym i łagodnym, lecz nieco poważnym, gdyż w młodości gruntownemi zajmował się naukami. Dusza ięgo zarazem tkliwa i wzniosła, zdolna była do przyięcia głębokich i trwałych wrażeń. Wdzięki i niewinność sieroty, więcy ięszcze aniżeli ię piękność mocno go uderzyły. Dobry oyciec zostawił go panem swojego przeznaczenia; nie usiłował przeto walczyć z uczuciem, które go natchnęła, twerzył nawet szczęsne na przyszłość zamiary, gdy zmiana zaszła w

losie ministra, rozkazała mu poświęcić temu oycu tak godnemu jego przywiązania cały swój czas i staranie: towarzyszył mu w ukryciu które obrał sobie po wyściu z ministerjum. Lecz wprzód nim oddalił się z Paryża, godząc tajemną skłonność swiego serca, z obowiązkami dobrego syna, napisał do wdowy donosząc iey co się stało z iey interessem, i co ma czynić, aby pomyślny skutek otrzymała; wiadomo nam, że jego rozkazów nie wypełniono. Nagła choroba wydarła mu oycę, powrócił z matką do Paryża, i zajął pałac przyległy pomieszkaniu Ludwika. Nadaremnie wywiadywał się o losie Sefelii. Przez kilka miesięcy nic nie mogło rozerwać jego smutku, nareście na proźby matki zwyciężył samego siebie. Siostra jego szła za pewnego pułkownika, porzucono żalobę na jeden dzień. Alfred razem iey brat i opiekun poprowadził ją do ołtarza, a ta prosta formalność była przyczyną boleśnego błędu Ludwika. Po ślubie wszyscy wyiechali na wieś, i dopiero przy końcu Listopada Alfred powrócił z matką do Paryża.

W sam dzień swego powrotu przechodząc koło kościoła S.... uyrzał wchodzącą do niego młodą dziewczynę z zasłonią twarzą, iey szlachetna i przystoyna postać budząc w nim słodkie wspomnienie podnieciła iego ciekawość i zaięcie. Poszedł za nią, i poznał tę która przed sześcią miesiącami, tak słodko iego serce wzruszyła.

Nie potrzebuemy rozszerzać się nad resztą wypadków. Matka Alfreda, pragnąc jedynie szczęścia swojego syna, przekonawszy się o cnotach i poświęceniu się Ludwika, sama na proźbę syna, udała się do Sefelii prosząc ją o rękę córki. A tak Ludwika otrzymała nagrodę swoich poświęceń, Sefelia odzyskała zupełnie utracone zdrowie. Sam nawet stary hrabia M.... któremu pochlebiało tak świetne zamęście córki iego synowca, wyznaczył iey odpowiedni posag. Żadne słowa nie zdołaia odmalować cichéy radości Sefelii i miłego podziwienia matki Alfreda, gdy codzienie w swoiéy synowicy odkrywała nowe wdzięki i enoty. Oboje powracaią z kościoła, widząc ją uwienconą wieńcem słu-

bnym powtarzaly te słowa Eklezjasty. —
»Szczęśliwy mężczyzna który ją nazwie swoją żoną. Szczęśliwe dzieci które ją nazwą swoją matką.»

I.

ŻÓŁW i ŻABA.

(Z Poezyi Józefa Masalskiego, z Tomu pierwszego.)

Aż się cały świat dziwował:
Żółw się w żabie rozmiłował.

Ale w żabie
Nie babie;

Owszem młoda i gładka
Była żółwia sąsiadka.

Wnet iegośność i w swaty.

Do swej niebogi

Nie ma zły drogí.

Choć sto kroków do iey chaty

Szedł kawaler tylko tydzień;

W niedzielę dał iey dobry dzień,

W poniedziałek był żonaty.

A iak mówią ludzie starzy,

To się rzadko widzieć zdarzy,

By się która tak kochała

Jako ta para wspaniała.

Ale cóż po téy miłości?

Mąż powolny, ieymość żwawa;

Ni romanse ni zabawa

Nie czyniły przyjemności,

Bo czy to do krewnych gościna,

Czy to przechadzka wypadła,

Sto razy pani żółwina

I podskoczyła i siadła,

Była na łące w potoku,

Póki mąż zrobił pół kroku;

A on iak mógł usiłował.

By nie znudzić lubey żony,

Nie raz truchtem póysć próbował,

Nie raz przystał uznoiony;

Lecz próżne znoie i poty:

Jmość z tęsknoty

Wpadła w suchoty;

Mąż, gdy się pędzszym być stara,

W krótcie stracił siły swoje;

Tak zginęli oboje.

Zle gdy nie dobrana para.

